

Zmierzch epoki karbonu

Górnicy są w szoku. Wszyscy, z prawa i z lewa, zawsze zapewniali ich, jak są ważni, ile znaczy ich praca. Słyszeli, zwłaszcza od polityków PiS, że węgiel to fundament, na którym zbudowana jest Polska, że Bóg dał nam go po to, byśmy go wydobywali i palili. Zaledwie rok temu prezydent Duda podczas Barbórki przekonywał, że polskie czarne złoto to nasz strategiczny surowiec, mamy go na 200 lat i dopóki on będzie prezydentem, nie pozwoli, żeby ktokolwiek zamordował polskie górnictwo. Mateusz Morawiecki w poprzednim exposé w 2017 r. zapewniał zaś, że „węgiel to podstawa naszej energetyki, nie możemy i nie chcemy z niego rezygnować”.

Tym razem uderzył w inny ton, przekonując, że „realia się zmieniają. Kiedyś nie było nas stać na rozwijanie źródeł odnawialnych, a teraz nas nie stać, żeby ich nie rozwijać”. Dlatego mówił o walce o klimat i czyste powietrze, o fotowoltaice, farmach wiatrowych na morzu i elektrowniach jądrowych. Nawet przy okazji inwestycji w edukację zapowiedział program tysiąca zeroemisyjnych szkół. A o węglu ani słowa, choć wypadało, bo Barbórka za pasem. Wspomniał jedynie mimochodem, że „tradycyjna energetyka jeszcze długo będzie ważna w naszym systemie elektroenergetycznym”.

Śląski baron znika

Działacze ekologiczni podchodzą do tej przemiany nieufnie, traktując to jako tzw. greenwashing, czyli udawaną troskę o środowisko w celu poprawy wizerunku. Rząd PiS za dużo szkód poczynił w dziedzinie ochrony środowiska czy zielonej energetyki, by łatwo uwierzyć w takie deklaracje. Górnicy też liczą, że to tylko słowa, i nie ukrywają nadziei, że jeśli tradycyjna energetyka pozostanie ważna, to i węgiel długo będzie najważniejszy. Są jednak zaniepokojeni, zwłaszcza że w tym samym czasie zostało zlikwidowane Ministerstwo Energii, resort powołany cztery lata temu dla ratowania śląskich kopalń. Przed kilkoma miesiącami z rządu zniknął Grzegorz Tobiszowski, śląski

baron PiS, wiceminister energii odpowiedzialny za sektor górniczy, a teraz zabrakło miejsca dla ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego. Może go nie kochali, ale szanowali, bo węgiel był zawsze dla niego na pierwszym miejscu.

Teraz o losie górnictwa będą decydowali minister aktywów państwowych Jacek Sasin i Adam Gawęda, wiceminister odpowiadający za sektor wydobywczy. Część kompetencji dotyczących tworzenia polityki dla górnictwa przypadnie ministrowi klimatu Michałowi Kurtyce, obecnemu prezydentowi szczytu klimatycznego ONZ COP24, walczącego z ociepleniem klimatu. To górników nie nastraja do niego pozytywnie, bo walka z ociepleniem klimatu to między innymi walka z paliwami kopalnymi, w tym głównie z węglem. A oni uważają, że całe to ocieplenie klimatu to nic innego jak wielki antywęglowy spisek.

Tymczasem Unia Europejska jest innego zdania i nie tylko chce realizować założenia porozumienia COP24, ale ma ambicję być światowym liderem tych zmian. Temu służy polityka energetyczno-klimatyczna UE i plan osiągnięcia w 2050 r. neutralności klimatycznej. Ta neutralność oznacza, że gospodarki krajów wspólnoty będą mogły emitować tyle CO₂, ile ich ekosystem, wspierany przez technologię, będzie w stanie zaabsorbować. Polska zrezygnowała z blokowania tego planu i teraz jedynie targuje się o pieniądze na modernizację energetyki i sprawiedliwą transformację. Konkurencja jest spora, bo w całej UE działa w tej chwili 200 elektrowni węglowych i 130 kopalń. Zatrudnienie w sektorze górniczym wynosi ok. 240 tys. osób, a z tego w polskim górnictwie, największym w UE, pracuje prawie połowa.

Największą europejską spółką wydobywczą jest Polska Grupa Górnicza, państwowa firma stworzona trzy lata temu z dwóch faktycznie upadłych poprzedniczek – Kompanii Węglowej i Katowickiego Holdingu Węglowego. To był efekt jednego z największych programów pomocy publicznej w gospodarce. Bo rząd PO-PSL zostawił górnictwo w opłakanym stanie. Premier Donald Tusk nie miał ochoty szarpać się z górniczymi liderami związkowymi i dlatego problemy górnictwa były odsuwane, a długi kopalń rolowane. Gaszenie kryzysu zostawił swojej następczyni, ale Ewie Kopacz zabrakło czasu i temperamentu Margaret Thatcher. PiS obiecał za to górnikom, że rozwiąże ekonomiczne problemy szybko i skutecznie, a żadna kopalnia na tym nie ucierpi. Okazało się, że takie cuda są poza jego możliwościami.

Program ratowania górnictwa wymagał po raz kolejny zastrzyku budżetowych pieniędzy i zamknięcia najbardziej nierentownych zakładów. Po długich staraniach Bruksela zgodziła się na gigantyczną pomoc publiczną, pod warunkiem jednak że pieniądze zostaną wydane na likwidację kopalń, a nie na finansowanie ich deficytu. Pójdzie na to ok. 13 mld zł. Stare długi Kompanii Węglowej i KHW banki zgodziły się zamienić na obligacje, które PGG ma spłacać do 2027 r. To w sumie ok. 2,36 mld zł.

Ocalałe kopalnie przeszły na garnuszek państwowych koncernów elektroenergetycznych, tak jak domagali się górniczy liderzy. Trzy są dziś w składzie państwowego Tauronu, 15 zaś należy do Polskiej Grupy Górniczej, której akcje musiały przejąć państwowe koncerny energetyczne, w tym m.in. PGE, PGNiG, Energa i Węglkokoks.

Pomysł PiS był prosty i polegał na zmuszeniu państwowych koncernów energetycznych do kupowania węgla po takich cenach, by zagwarantować kopalniom rentowność. Zarządy były stawiane przez polityków pod ścianą. Żadnych tłumaczeń, że to działanie na szkodę spółki, odmowa oznaczała dymisję.

PGG obiecywała, że podniesie wydajność, zwiększy wydobywanie i obniży koszty. Bilans 4 lat pokazuje, że to się nie udało. Portal Wysokie Napięcie zestawiał wyniki z listopada 2015 r. z obecnymi i okazuje się, że zatrudnienie spadło o 11 proc., ale wydobywanie aż o 25 proc. Wydajność, czyli ilość węgla na jednego górnika, spadła o 16 proc., za to koszty wydobywania skoczyły o 38 proc. Węgiel kupowany przez elektrociepłownię jest droższy o 34 proc. niż 4 lata temu, a przez elektrownię o 19 proc. PGG, choć zapowiadała, że będzie wydobywać ponad 30 mln ton rocznie, nigdy nie zdołała tego pułapu osiągnąć.

– Państwowy właściciel nie sprawdza się w górnictwie. Trudne warunki geologiczne, wyczerpywanie się złóż, utrzymywanie trwale nierentownych kopalń, brak inwestycji w mechanizację robót górniczych sprawiają, że wydajność jest niska, a koszty wydobywania coraz wyższe – tłumaczy dr Janusz Steinhoff, były wicepremier i minister gospodarki, autor największego dotychczas programu restrukturyzacji górnictwa (którego efekty zostały zmarnowane).

PGG deklaruje, że zamierza eksploatować nowe złoża, ale na Śląsku budzi to coraz większy opór. Buntują się samorządy. protestują

dramatyczne szkody. Ziemia się trzęsie, ściany pękają, grunt się zapada. Przykładem miasteczko Imielin, nieopodal Mysłowic, gdzie PGG chce uruchomić eksploatację złoża Imielin-Północ pod zabudowanymi terenami. Zajmie się tym miejscowa kopalnia Piast-Ziemowit. – *Jesteśmy przerażeni, bo nasze domy nie wytrzymają wstrząsów, jakie będzie powodowała eksploatacja płytko położonych pokładów. Zwłaszcza że kopalnia będzie to robiła metodą „na zawał”* [przestrzeń po wydobytym węglu nie jest wypełniana, ale sama się zapada]. *Kiedy budowaliśmy nasze domy, Kompania Węglowa informowała nas, że nie zamierza na tym terenie prowadzić wydobywania* – wyjaśnia Przemysław Zdziechiewicz ze Stowarzyszenia Zielony Imielin.

Rachunek kosztów, zyski coraz mniejsze

Imielin-Północ to niejedyny projekt eksploatacji nowego złoża w kopalni Piast-Ziemowit. Dwa inne zakładają zejście poniżej 1000 m, ale tu z kolei pojawia się problem opłacalności, bo choć węgiel jest tam wysokiej jakości, to wraz z głębokością rosną koszty wydobywania. Trzeba instalować klimatyzację, a górnicza dziówka kilometr pod ziemią ma sześć godzin. Na dodatek złożo zawiera niebezpieczny metan, który jest też gazem cieplarnianym, więc zanoszą się, że kopalnie będą płaciły za jego emisję. Tymczasem podczas wydobywania węgla w śląskich kopalniach pojawia się rocznie aż miliard metrów sześciennych metanu, który tylko w części jest wykorzystywany (bo to gaz ziemny), ale w większości trafia do atmosfery. Okazuje się, że z faktu, iż pod ziemią kryje się węgiel, nie wynika – jak wyobrażają to sobie politycy – że jego wydobywanie jest zawsze możliwe i musi się opłacać. Rachunek kosztów jest coraz dłuższy.

PGG, choć jeszcze notuje zyski, to coraz mniejsze. W tym roku będzie to ok. 100 mln zł, choć rok temu było blisko 0,5 mld zł. Jeszcze gorsza sytuacja jest w trzech kopalniach należących do Tauronu, które po trzech kwartałach notują 262 mln zł strat. Tymczasem górnicy z PGG rozpoczęli spór zbiorowy i domagają się podwyżek, których roczną wartość zarząd szacuje na ok. 610 mln zł.

A na kopalnianych hałdach piętrzą się miliony ton niesprzedanego węgla, jednocześnie do Polski płynie nieprzerwana rzeka węgla z importu, głównie z Rosji. W ub.r. sprowadzono go ok. 20 mln ton,

starań nie udało się tego zahamować. Dziś węgiel importują nawet kopalnie, a PGG chce odkupić od PGE wyspecjalizowaną w tej dziedzinie spółkę. – *Krajowe wydobycie węgla będzie się kurczyło już choćby z powodu wyczerpywania się zasobów. Import będzie więc rosnąć, jeżeli nie zmniejszymy zużycia węgla i nadal będzie on podstawą energetyki do 2050 r., jak zakłada dziś rząd. A przecież poza tym jest jeszcze ciepłownictwo i indywidualne systemy ogrzewania, także wykorzystujące węgiel* – wyjaśnia dr Joanna Maćkowiak-Pandera, prezes Forum Energii.

Dziś import wynika z tego, że węgiel jest lepszej jakości i często tańszy niż krajowy. Kupują go elektrociepłownie, odbiorcy indywidualni (w domowych piecach spalane jest 12 mln ton węgla rocznie), ale także wielkie elektrownie. Muszą ratować swój bilans, bo coraz droższy węgiel i szybko rosące ceny uprawnień do emisji CO₂ sprawiają, że prąd z węglowych elektrowni robi się coraz droższy, a więc mniej konkurencyjny. – *Hurtowe ceny na rynkach energii elektrycznej naszych sąsiadów są niższe niż w Polsce, co sprawia, że szybko rośnie nam import prądu* – tłumaczy dr Maćkowiak-Pandera.

Trudno się w tej sytuacji dziwić, że gwałtownie rosną rachunki za prąd. I znów politycy PiS stosują swoją klasyczną metodę: wymuszają na zarządach koncernów energetycznych, by nie podnosiły cen. Oczekiwania są takie, by za krajowy węgiel płacić więcej, niż wynosi jego rynkowa wartość, ale energię sprzedawać poniżej kosztów.

No i oczywiście energetyka ma inwestować w budowę nowych elektrowni węglowych, bo dzięki temu wzrośnie zapotrzebowanie na węgiel. Taką inwestycją jest wymuszona przez ministra Tchórzewskiego budowa Ostrołęki C o mocy 1000 MW, którą muszą sfinansować Energa i Enea, choć wciąż nie wiadomo, skąd będą pieniądze. Minister tłumaczył, że to konieczne, bo dzięki tej inwestycji górnicy będą mieli zbyt dla 2 mln ton węgla. Dziś jednak, gdy Tchórzewski stracił stanowisko, minister klimatu przekonuje, że to zmartwienie inwestorów, co dalej zrobić z Ostrołęką C, która nie ma szans na osiągnięcie rentowności.

Ostatnim dokumentem, jaki wyszedł z Ministerstwa Energii przed jego likwidacją, była kolejna już wersja projektu Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. (PEP2040). Unia Europejska wymaga od krajów

rozwijać swój sektor energetyczny, jak ma wyglądać miks źródeł energii tak, żeby zmieścić się w ramach polityki energetyczno-klimatycznej UE.

Co tu kryć, my już na poziomie planów kompletnie sobie z tym nie radzimy. Nie wiemy, na co stawiać – na odnawialne źródła energii, atom, gaz? Za każdym razem pojawia się ważne politycznie pytanie: gdzie w tej układance umieścić nasze czarne złoto? Jak górnikom zagwarantować kolejne lata spokojnego fedrowania? Co zrobić z naszą elektroenergetyką, która dziś 80 proc. energii elektrycznej produkuje z węgla? W tym prawie 50 proc. pochodzi ze spalania węgla kamiennego, reszta z brunatnego.

Polski rząd wspiera

To najbardziej emisyjne paliwo, dziś produkcja 1 megawatogodziny (MWh) w polskich elektrowniach oznacza, że do atmosfery trafia blisko tona CO₂. W tych najnowszych, najbardziej zaawansowanych technologicznie blokach węglowych jest możliwe podniesienie sprawności wytwarzania, dzięki czemu można zejść do ok. 0,7 tony, ale więcej się nie uda. Ta walka ma swój wymiar ekonomiczny, bo za prawo do emisji CO₂ trzeba płacić, i to coraz więcej. Dziś emisja tony CO₂ kosztuje ok. 104 zł (24,4 euro), podczas gdy za tonę węgla elektrownia płaci 250 zł.

Polski rząd swoje elektrownie węglowe wspiera, przyznając część uprawnień za darmo i dotując je w ramach tzw. rynku mocy. Elektrownie dostają pieniądze za samą gotowość do produkcji energii, dzięki czemu wychodzą na swoje. Problem jest tylko taki, że UE od 2025 r. chce wyeliminować możliwość udzielania pomocy publicznej dla wszystkich elektrowni emitujących ponad 0,55 tony CO₂ na 1 MWh. A to dla węgla poziom nieosiągalny.

– *Nie da się połączyć centralnego sterowania z mechanizmami rynkowymi* – komentuje dr Leszek Juchniewicz, były prezes Urzędu Regulacji Energetyki. – *To Polacy, a nie politycy zadecydują o tym, ile energii będzie pochodzić z jakiego źródła. W Polsce rodzi się energetyka prosumencka, niebawem będziemy mogli we własnym zakresie zapewnić sobie energię. Domowe ogrzewanie przy użyciu węglowych kopciuchów zostanie wyparte przez gaz, energię elektryczną czy*

Rewolucja technologiczna w energetyce idzie w takim tempie, że rozważania polityków, co będzie w 2050 r., trochę przypominają prognozy z końca XIX w., jak za kilka dekad końskie odchody pokryją ulice, bo liczba dorożek przecież musi rosnąć. Już dziś powstają w Polsce elektrownie fotowoltaiczne, których właściciele deklarują, że nie potrzebują żadnych dotacji ani mechanizmów wsparcia. Ceną energii mogą konkurować z elektrowniami węglowymi, które wsparcia potrzebują coraz bardziej. Elektrownię fotowoltaiczną chce budować nawet... PGG. Przynajmniej do niej nie trzeba będzie dopłacać.